URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

PATYKI, BADYLE

MARGINESY

1 Patyki, badyle

Patykiem narysuję na ziemi jakieś coś. Badylem odgonię naszpikowaną zębami paszczę psa, kijaszkiem pomacham w powietrzu, by posłuchać dowodu na nieprzezroczystość przestrzeni, dla sprawdzenia, czy nadal tam w niej wiszą atomy. A skoro wiszą, to przecież zasyczą, gdy je w powietrzu rozdzielę. Na konarze będę siedzieć godzinami, moszcząc się w dłoniastych jego rozwidleniach jak w gnieździe, na jutro. Pohuśtam się na gałęzi lipy, dobrze wiedząc, że nie zrzuci mnie naprawdę nigdy, bo związana jest włóknami silniejszymi niż ja. I że wszystko to też mi wybaczy, będę pamiętać zawsze.

Patyki, badyle, drągi, pędy, gałązki – długie palce, rusztowania dla liści, kwiatów i owoców, pokryte twardą korą, zasłonięte od świata, eksponują jednak swoje intymne priorytety, obnażając kształtem, ukrytym językiem anatomii całą historię swojego życia, którą można czytać jak powieść o nieprzewidywalnej fabule. W rozdziałach przyrostów drewna albo w geometriach komórek – kapsułek ukrytych w liściu – kryje się zapis o życiu, po ludzku: każde drzewo ma inny charakter, bo przecież każde z nich jest inne. Jedne są zachłanne, więc umrą szybko, a drugie ślimaczyć się będą kilka tysięcy lat, przyrostami cienkimi jak bibułka. Będą żyły na minimum,

na nic, jak w spękaniach suchych Gór Skalistych od wieków stwarzają się sosny ościste, jak szwedzki świerk Old Tjikko związany będzie z antykiem, z Arystotelesem, cienką granicą roku, w którym on się narodził, a drzewo miało już kilka tysięcy lat.

W gałęzi i ułożonych komórkach – literach drewna – zakodowana jest też wybrzmiała pogoda, słońce i wiatry, z wypadkami jak majowe mrozy, i to, czy gleba, w której całe drzewo się zrodziło, była dla drzewa hojna czy raczej jałowa, czy brakowało kiedyś deszczów i w którym roku zdarzyły się tak rzęsiste, że brakowało powietrza na oddech? W ciałach drzew wypalone są też wszystkie ich traumatyczne historie, na przykład gwóźdź, pożar, pocisk z ludzkich wojen, inwazja owadów czy zgryzanie zębami łosia – to też się da w nich odczytać. Kształty konarów opowiedzą o przebiegu wielu lat, chociażby o tym, czy w ich bliskości żyły jakieś inne drzewa oraz kiedy one umarły. Czy czasem któregoś dnia nie ścięto gałęzi wyżej albo niżej nich? A może wichura rozłupała ją zamaszyście, otwierając niebywały kawał nieba dla nowych pędów, jeszcze niewyrośniętych, z ukrytych pod korą pąków, które człowiek nazwał śpiącymi? Z której strony zwykle wieje wiatr, mimo że nigdy nie wiadomo, kędy on gna? Wszystko to pisze drzewo jak patyk w powietrzu, jak ja teraz na piachu, bo konar i gałęzie, cała ta gęstwina, to ciągła ich rozmowa ze sobą, przestrzenią i tego ciała rysunki.

W gałęzi jest też wrysowany pewien odwieczny plan, tchnienie życia wykształcone ewolucją, oszlifowane licznymi porażkami, które się przez miliony lat koryguje, dzięki czemu dziś także my – w ułamku sekundy – odchylamy przecież dłoń znad płomienia. Współcześni wokół nas to zatem wybrańcy losu, szczęśliwcy pośród niekończącej się sterty zwłok i ich

chybionych decyzji, więc rosną tu, żyją najlepiej jak w tym momencie można.

W konarze i cienkim patyczku widzę też działania czystej chemii i widzę klarowną fizykę, ich odczytane prawa i poszukiwania odpowiedzi, przekazywane jako dziedzictwo, zdanie nadrzędne szeptane do liścia, do włókna, zdobyte przez śmierć przodków. Tej tajemnicy wciąż nie znam.

Tak jak pewność tego, że istnieje grawitacja. I że w drzewach widać powidoki aktów grawitacji. W nich jest jej rysunek, jak echo. To niewidzialne przyciąganie kuli ziemskiej u roślin dostrzec można już w samym ułożeniu pnia, geometrii źdźbła turzycy i witce wierzby, w nerwacji liścia, w jego kształcie, formach szyszek, strukturze pylników, wszędzie ją widać.

Wydaje mi się też, że to przezroczyste powietrze, które przed miliardami lat było potworem hamującym emigracje roślin z mórz na lądy, dziś jest składnikiem przestrzeni, przez który żadna roślina nie musi już umierać. Bo dostosowała się, by z tym powietrzem i w powietrzu współistnieć. Od samego początku ono jest wokół gałęzi, porusza się, ma zmienne stężenia wilgoci, będzie osuszało liść, więc wywlekało z niego wodę, rankiem moczyło kondensacją, ale i wiatrem biło, tworząc naprężenia, wygięcia i drgania masztu-konaru i całego pnia. Będzie tłukło podmuchami, a drzewo odpowie jękami i szumem na każdy strumień dzikich atomów zaplatający się wokół gałęzi.

I tak rok w rok, patyki, gdy żyją, to rosną, tyją, potem już są jako gałęzie i zaraz konary, wciąż notując w swoich ciałach z niezwykłą pilnością całość tę, która się w nich i dookoła dzieje, zachowują jej opisy na zawsze, dopóki coś ich nie rozłoży, nie spali lub nie rozedrze.

Bo w konarze jest schowany badyl, w badylu jest gałąź, ta sprzed roku, i kijek sprzed kilku lat, a jeszcze głębiej siedzi cicha gałązka. W samym środku zaś jest już zupełnie nieme wspomnienie cienkiej wiosennej witki, zielonego patyczka wielkości zapałki, teraz widać go tylko jako jasny punkt, rdzeń, a przecież kiedyś witał cię migotaniem żółtozielonego liścia. Bo był on w odpowiednim czasie szczęśliwie na drzewie umieszczony, skoro wtedy przeżył, przezimował, odzimował i stał się podstawą, którą oblazły nowe przyrosty, nowe i nowe kolejne okręgi budującego czasu, jak fale po wrzuconym do wody kamieniu.

Geometria okręgów drewna to coś, co się w patykach dzieje, bo myślę, że można tak mówić – że geometria w roślinach właśnie d z i e j e s i ę, s a m o s t a n o w i w naturze i tę naturę przez siebie stwarza. Jest na nią odpowiedzią, refleksem odziaływania, zdradza ją poprzez to, pokazując, czego ona nie znosi, a na co pozwala, jest zatem plątaniną gałęzi na murze, nerwacją liści, dorzeczem Amazonki, zmarszczkami na twarzy, spękaniem ziemi, naczyniem serca, żyłkami skrzydeł pasikonika – wszystko jest do siebie podobne, bo wszystko jest zbudowane z jednych molekuł i tkwi w jednej, wspólnej przestrzeni, w której rosną żaby, zimorodki i turzyce.

W czułych pędach, badylach i konarach utrwalona jest więc droga tworzenia całego drzewa, jego wzrostu, jako pieśni wiwatującej życiu, oratorium światła i ziemi, przemian otoczenia i własnego wnętrza. Wszystko to wyryte jest hieroglifami anatomii. Mimo że mogę rozszyfrować z nich tylko pojedyncze słowa, zdania proste z kilkoma tylko przymiotnikami, i tak wiem, że warto to czytać bez ustanku, dokładnie tak samo, jak czytamy zapisy i źródła odkrywane przez archeologów, etnografów, u pisarzy sprzed lat, opisujących

historie człowieka na świecie, jak i sam złożony świat. Urywki słów Safony, księżycowy kamień, szelesty kosmosu, piski fal grawitacji i anatomia roślin – rysunki roślin – języki roślin, niezrozumiałe, wystarczają, by z premedytacją zgubić się w nich, zakopać się w ich zaszumionym i niewyraźnym dowodzie istnienia, zaplątać się tam, zmęczyć i się skończyć, bez poznanej odpowiedzi.

Patyki, badyle, powietrze i jeszcze my.

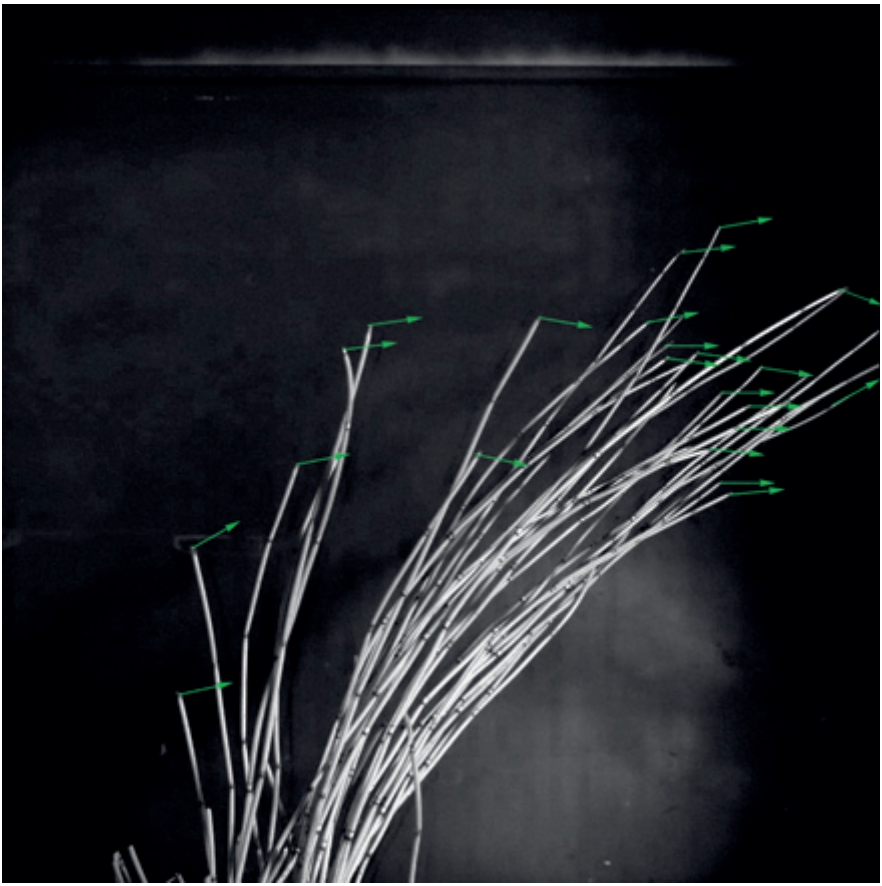

2 Wszystkie drżą

Przenoszenie swojego ciała, wsuwanie się w przestrzeń, jest jej burzeniem, dość gwałtownym, mimo że dla naszych oczu niewidzialnym. Kiedy przejdziemy zaledwie kilka kroków gdziekolwiek, to poza nami, właściwie niezmiennymi, patrzącymi tylko na nieco inne światło i innym światłem okrytymi, poza odmiennym też rysunkiem naszego cienia, szmerem dotyku ziemi i jego pulsem ciepła, który zaraz gaśnie – wtedy w powietrzu wydarza się rewolucja.

Powietrze to materia. W jednym jego metrze sześciennym jest ponad kilogram dygoczących cząsteczek, które przy spotkaniu z naszym ciałem biją w nie, dziko tłuką, niektóre się odbijają, inne na krawędziach rąk, nóg, nad głową, wokół twarzy przesuwają się przezroczystością, suną podmuchami z ust, by zaraz wpaść w wiry i turbulencje, gdy tylko zwolnimy po sobie miejsce. Tam się to dzieje, w pustce za nami. Człowiek przechodzi, kot stąpa, przelatuje kos, a atomy w miejscu po nich wirują. Te niewidoczne wstążki, smugi wzruszonej materii, będą rysowały geometrie, które są fizyczną odpowiedzią na to, kto szedł. Im większa postać, szersza lub bardziej kanciasta, i w im większym będzie podążała pędzie, tym większe wiry wznieci. Liczby Reynoldsa, te straszliwe liczby, od których nie da się uciec na Ziemi, mówią, że jaskółka, któ-

ra błyskawicznie tnie powietrze, wzburza je gwałtowniej od innych, siłami inercji zamiesza cząsteczki, zamaże i zaraz je chyżo za siebie wyrzuci, wypluje w wiry, pukle, zapaści przewietrzone, i trzeba będzie prawdziwego czasu, by powietrze wróciło do stanu sprzed chwili, tego względnego i pozornego porządku materii.

Ale bywa tak (albo może stale tak jest, inaczej), gdy samo powietrze, poruszone, sunie, płynie, przenosi swoją materię, opływa, supła, a istoty nieruchome stoją w nim zanurzone, poddając mu się całkowicie. To właśnie jest wiatr i na wietrze rośliny. Rośliny zakleszczone w ziemi przez całe życie doświadczają przetaczającej się wokół nich materii. Żyją w potokach przepływów cząsteczek i próżni między nimi. Są schowane w masie, w ruchomej materii, która sama będzie je też poruszać, szturchać, zadzierać ich liście do góry, porywać ich nasiona i nieść ze sobą przez chwilę, będzie też mogła wyrywać je całe z ziemi i pnie łamać na pół. Wiatr rzeźbi rośliny od samego ich początku.

Zatem formy drzew żyjących w wietrze o jednym kierunku będą przypominały zastygłe powietrze, pokładającymi się gałęziami będą rysować jego przepływy, które oddziaływały na nie przez dziesiątki lat, co pokazują drzewa nad morzem lub w kotlinach, gdzie powietrze ma tylko jedną drogę ucieczki. Ale właściwie to przecież nieważne, gdzie rosną, rośliny zawsze zdradzą samym tylko drżeniem liści i pędów pojawienie się tych niewidzialnych przepływów. One zaś kreować będą napięcia wewnątrz ich ciał, które zapisywać się będą coraz głębiej. W szaleństwie wichury liście tworzą żagiel o ogromnym oporze aerodynamicznym, który zacznie pochylać cały maszt pnia. Pień przeginający się w jedną stronę będzie musiał przeciwdziałać naprężeniom ściskającym, roz-

ciągającym i ścinającym, które mogą całkowicie zmienić nacisk, gdy wiatr niespodziewanie zawiruje i dmuchnie z innej strony. Takie gwałtowne zmiany wektorów sił są nieznośne dla drzew. Pochylanie się i przeginanie z ogromną dynamiką to dla nich stan najwyższego ryzyka. To wtedy pnie pękają albo i przewracają się całe drzewa. To nie ich czas na reakcje.

Dlatego wydawało mi się kiedyś, że najlepiej byłoby roślinom bez końca się wzmacniać, zanurzać niżej korzenie, czyniąc z nich silniejsze kotwice, wiązać się włóknami, tak jak ludzie budują mięśnie i noszą tarcze, zbroić się od środka, by zdołać przeciwdziałać obcym siłom i stawiać im opór, wygrywać potyczki – i że to jedyna droga do doskonałości mechanicznej życia. Ale raz przestałam zadzierać nos w puszczy do dębów, tylko spojrzałam pod płot przy chodniku, którym akurat szłam. Rosły tam skrzypy. Kilka sztuk sięgających mi do połowy łydki.

Wszystko zmieniły mi skrzypy.

Te współczesne, nazywane ocalałymi z dewonu, są rozbitkami tragedii ciągnących się na Ziemi przez czterysta milionów lat, od kiedy w ocenach pływały potwory o zębatych paszczach, zaśluzowane prymitywne płazy wygrzebywały się dopiero leniwie na ląd, a dinozaury miały pojawić się za jakieś dwieście milionów lat. Już wtedy żyły skrzypy, w bogactwie form. Przeżyły wielkie wymierania, zlodowacenia i inne rozmaite gwałtowności, które jednoznacznym gestem tasowały drogi ewolucji. *Homo sapiens* może dziś dotykać jedynie piętnastu gatunków ocalałych z tamtego niemożliwie odległego czasu, dotykiem dłoni teleportować się do wilgotnych lasów karbonu, stumilowym krokiem przeskoczyć odległe ery, pobyć tam nawet i pooddychać, przez kontakt opuszkami palców, obejmującymi wątłą łodyżkę przydrożnego chwastu.

Skrzypy dzisiejsze są miniaturą niegdysiejszych. Tamte osiągały kilkadziesiąt metrów wysokości, były jak drzewa. Niepodobna wyobrazić sobie, jaką drogę przeszły, by tu trafić. Nie sposób też odgadnąć, dokąd podążają teraz.

Czym jest zatem dla nich wiatr? Jak to możliwe, że przez tyle lat ewolucji strategia życiowa tej niebywale prostej rośliny okazała się wprost doskonała, czego dowodem jest fakt, że one wciąż tu są? Jest wiele prac ewolucjonistów snujących wspaniałe ciągi badań udowadniających, że skrzypy, poza rozmiarem, nie zmieniły się niemal wcale, że ich anatomia jest jedynie zeskalowaną matrycą, że ich morfologia jest wciąż tym samym! W jaki sposób walczą więc z wiatrami, skoro dominującą częścią ich łodygi jest prawie nic – bo wypełnia je powietrze? Łodygi mają lekkie i bardzo puste. Jak się to ma do silnych drzew, pełnych twardego drewna, do dębów mocarnych i sekwoi do samego nieba?

Skrzyp zimowy

Heretycko prosta postać tej rośliny, prostego badyla, z którego nigdy nie wyrastają gałęzie boczne, która jest tylko podzieloną na segmenty wąską rurką, wznoszącą się chyżo niemal do metra wysokości, czyni ją przedmiotem żywych zainteresowań botaników rozmaitych pasji. Nie szkicują jej jednak artyści, wymagałaby to przecież tylko jednej kreski i żadnego cieniowania.

Skrzyp zimowy przypomina źdźbło trawy, ale bez liści. Zasadza się w niedostępnych obniżeniach współrzędnych geograficznych, w zawilgotniałych, spowitych cieniem no-

rach, wypełnionych dusznym, gęstym odorem, przy butwiejącej materii wątpliwych stawików, przy granicach rzek leniwie przetaczających się między pokrzywami i umierającymi olszami. On rośnie tam. Skrzyp zimowy. Parsknięcie botanicznych estetów, ciężki oddech ewolucjonistów, brak uwagi pozostałych. Wciąż jest. Spójrz na niego. Jakiż on inny od smukłych sosen i strzelistych świerków, inny od łąk bogatych, inny od tęgich baobabów.

Skrzypy nie tworzą drewna, jakie potrafi budować drzewo. Nie wie nawet, że coś takiego istnieje, że są rośliny, które posiadają moc tworzenia drewna co każdy rok. Skrzypy nigdy więc nie będą twarde i naprężone. Ich łodyga jest podzielonym na segmenty cylindrem. W środku dominuje kanał powietrzny, czyli pustka, która pojawia się też w jej tkankach, gdzie są inne kanały powietrzne, inne puste nic, i jeszcze mniejsze kanały powietrzne, tę łodygę tworzy nicość rozdrobniona. Ale skrzypy jednak będą rosły w górę, ryzykując utratę stabilności, załamania, wyboczenia, będą rosły w górę, bo tylko tak zyskają szansę na więcej.

Wzdłuż łodygi ciągnąć się będzie sklerenchymatyczna, czyli bardzo sztywna warstwa włókien o kształcie dwuteownika (tkanka wybarwiona na żółto, wskazują ją białe strzałki). Będzie ona ograniczała nadmierne wygięcia łodygi. Gdy spojrzymy na łodygę z boku, to w przybliżeniu uwidoczni się bogata kaskada komórek, które zbierają światło, wyglądających jak baterie słoneczne. Są one bardzo gęsto upakowane – pewnie muszą, przecież skrzyp żyje w mrokach lasu.

Każda łodyga podzielona jest na segmenty o takiej samej budowie wewnętrznej. Im wyższa roślina, tym więcej segmentów, ale w środku wciąż wyłącznie twórczy minimalizm. Skrzypy nie potrafią niczego innego, jak tylko powtarzać ten

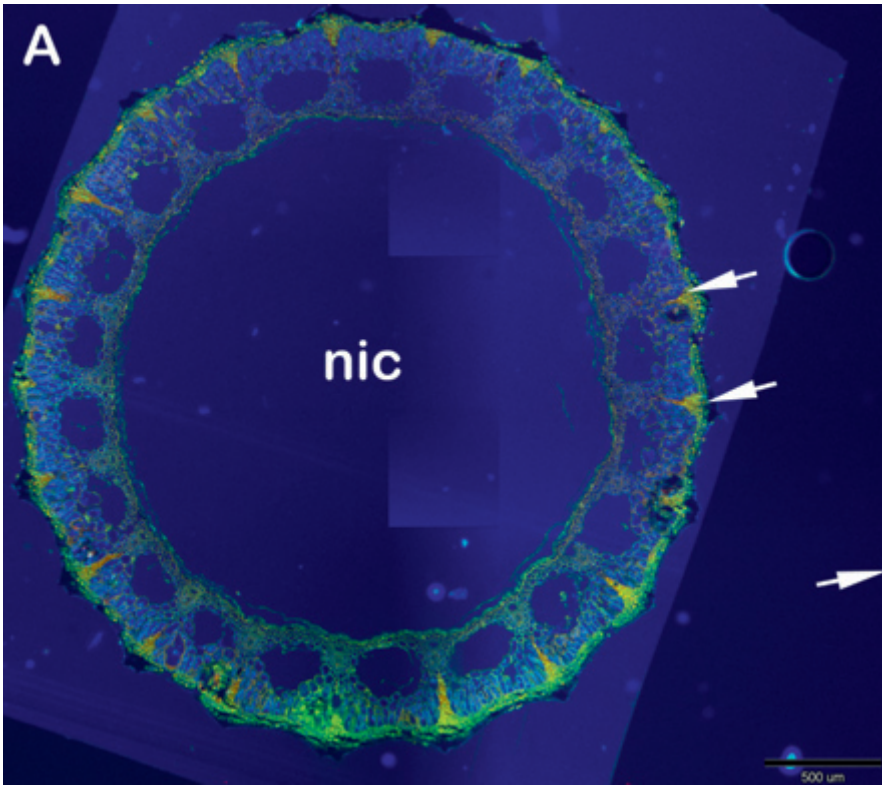
A
nic
500 um

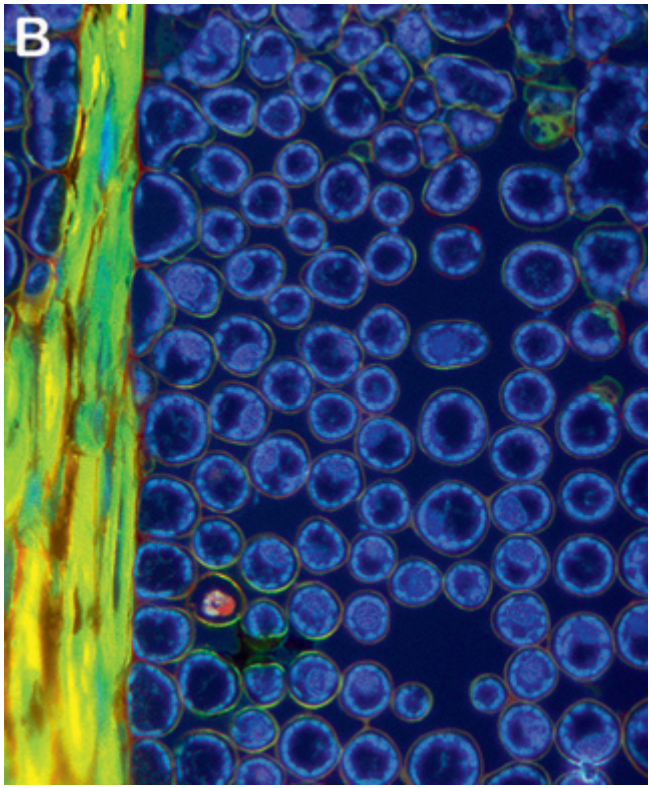
B

sam wzór. Jak u dżdżownicy. I żadnych rozgałęzień ani wielkich liści. Paranoja botaniczna. Ustawiczny autoplagiat, tyle że to w nim właśnie wydarza się to niezwykłe. Jak w przypadku ludzi – to wielka sztuka dla roślin wreszcie stanąć pionowo. Podobnie jak nam musiały zmieniać się kręgosłupy, długości nóg i innych składowych ciała, tak i roślinom wnętrza metamorfizowały w coraz bardziej złożone struktury i coraz bardziej zgodne ze strzałką grawitacji. Nieprzewracanie się człowieka stojącego na dwóch małych stopach i nieprzewracanie się roślin, wypełniających całe otoczenie pełne światła, wyciągających się ku górze, jest prawdziwym osiągnięciem żywych. Dlatego skrzypy są tu ewenementem – ponieważ są inne. One nie będą się przebudowywać i mobilizować, a tylko minimalnie zmienią wymiary poszczególnych segmentów, bo to właśnie w ich geometrii ukryty jest pomysł na postawę wyprostowaną. Łatwo jest bowiem złamać długi patyk na kolanie, ale trudniej to zrobić, gdy jest krótki. Tak samo trudno złamać cieniutką zapałkę, która została podzielona tylko na pół. Segmenty skrzypu skracają się albo wydłużają – naprawdę nic więcej – osiągając w ten sposób kosmiczne uniwersum. I te blisko ziemi są krótkie, te w środku naprawdę długie, a te przy szczycie znowu się skracają. Lecz po co te starania? Na szczycie łodygi tworzy się przecież to najważniejsze w życiu: finał szlaków selekcji, apogeum odwiecznej bitwy ze środowiskiem, cały sens – to, o czym wrzeszczał Darwin, o rozszerzaniu genów, o mieszaniu się oddziaływań. Tak i na szczycie skrzypu jest nadzieja na nowe lądy – kłos zarodnionośny, a w nim nieśmiałe zarodniki. Kapsułki genów, skromna propozycja na przyszłość gatunku. Nie mają skrzydełek, nie mają haczyków, by przyczepić się do dzików, które poniosłyby je w szczecinie borami i łąkami. Będą po-

legały tylko na wietrze. Ale jak czarować wiatr, by je porwał, kiedy macierzysty maszt jest wątły, poza tym znacznie niższy niż pobliskie krzewy i drzewa, schowany w przemoczonych cudzych liściach i przycupnięty tak od wieków? Co zrobić, by wiatr je porwał? Nic. Poddać mu się. Nie siłować. Wiatr będzie oddziaływał na łodygę skrzypu, będzie ją szturchał i pobudzał, a wszystko po to, by wreszcie zaczęła drżeć.

Tak mi się wydawało, dlatego kępy wykopanych, ukradzionych z lasu skrzypów oglądałam w tunelu aerodynamicznym politechniki, gdzie wiatr kontrolowany jest pokrętłem, nie ma wilków, kleszczy ani nocy.

Wszystkie falowały w tym sztucznym wietrze, rytmicznie pulsowały, pochylając się sprężyście, by zaraz się prostować. Wciąż wracały, wciąż drżały, uderzały się jeszcze lekko, wzmagając drgania. Nie mogłam oderwać oczu. Kiedy bryza zmieniła się w wichurę, drgania zwiększały częstotliwość. Chciałam udowodnić, że zmienna długość segmentów łodygi ma sens, że czemuś to służy. Poszukiwałam roślinnych sposobów na twardą fizykę świata, wtedy, kiedy własne ciało – ciało skrzypu – jest pierwotne w ewolucji, czyli nie za wiele jeszcze potrafi.

Po to przycięłam wierzchołki, pozbywając łodygi ostatnich trzech króciutkich segmencików, kilku ostatnich centymetrów życia, i patrzyłam, jak pozostałe będą tańczyć z wiatrem. A one właśnie wtedy zamarły. Pochyliły się tylko w podmuchu, przygniecione jego siłą. Wygięły się jak metalowa rurka, jak trup, i tak zastygły. A naturalne pędy wciąż drgały.

I to układa się nagle w prostą opowieść o roli geometrii w niemocy twórczej pierwszych roślin, które nie były jeszcze w stanie tworzyć zawiłych zdań anatomicznych tworów,

zachowując prostotę pierwotnego rysunku. Krótkie odcinki na szczycie łodygi usztywniają ją tam, długie segmenty w środkowej części zwiększają jej elastyczność, by przy podstawie znowu skurczyć się i nie dać się złamać.

Poszłam z tym dalej, w poszukiwaniu liczb tworzyliśmy przeróżne modele komputerowe rośliny, którymi można do woli wirtualnie się bawić, dokumentnie pieprząc ewolucję i nasz krótki byt na Ziemi, kreując łodygi-mutanty. Więc były łodygi z pomieszanymi segmentami, jak wieża z dowolnie wybranych klocków, były łodygi grzeczne, o równych segmentach, albo łodygi skromne, zbudowane z jednego odcinka, prostej rurki – a potem twory te owiewaliśmy cyfrowym wiatrem i patrzyliśmy, jak każda jedna natychmiast się łamie, gdy przekroczy naprężenia krytyczne. Wszystkie leżały i komputerowo ginęły – oprócz tych naturalnych.

Skrzyp rozsiewa zarodniki zamaszystym gestem, wyrzuca je szarpnięciem i czule układa na wstążkach wiatru niosącego je po prostu gdzieś, gdzie może uda się rozpocząć nowe. Zarodniki łączą się ze sobą hapterami, długimi mackami, chyba nigdy nie lecą w pojedynkę. To jedyna szansa, że kiedy uda się dalej żyć, rośliny będą rosły blisko siebie, w kępie, w zielonym mikropolis. Łodygi na wietrze poruszą się, będą dygotać, stukać się też lekko o siebie, uwalniając zarodniki,

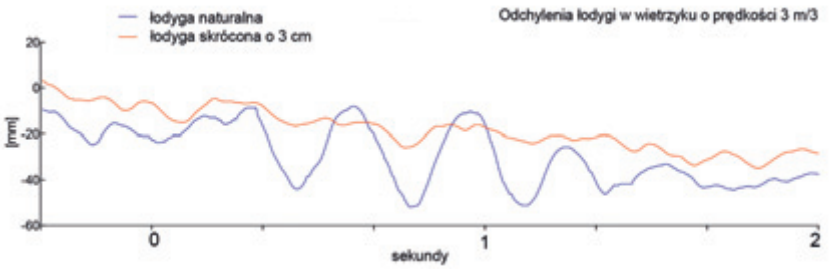

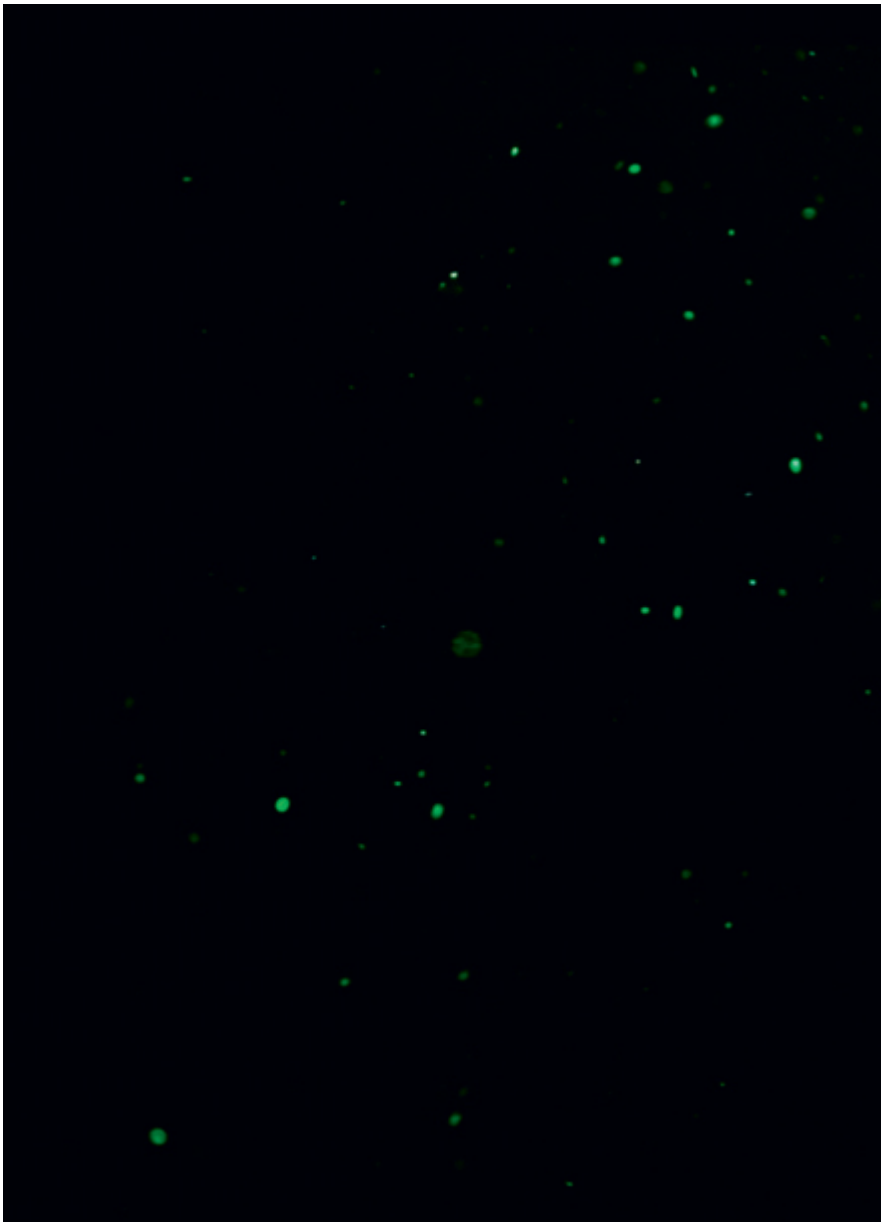

jak strzepuje się mąkę z rąk, a ona wtedy gdzieś w powietrzu się rozpływa. Nie wiadomo, gdzie są te jej drobiny. Nikt nie wie, gdzie lecą zarodniki skrzypu. Można to jednak zobaczyć, podświetlając laserowym wskaźnikiem: kiedy jest późno i nikogo w laboratorium nie ma, zgasić światło, kucnąć, odgiąć łodygę i ją wreszcie uwolnić, a ona rozprószy je przed twoimi oczami gwiezdnym pyłem. A wtedy ty, mimo że tkwiąca w czasie przepędzonym, po wielu miesiącach badań, mierzenia, modelowania, analizowania – gdy wreszcie zobaczysz to, na co przecież zebrałaś tyle liczb i dowodów, co wyżebrałaś od losu, by się wyniki objawiły chociaż numerycznie, gdy wreszcie uwidoczni ci się to tak po prostu, obrazem, w tym dusznym, czarnym laboratorium – uznasz, że właśnie dotykasz jakiejś całości, absolutu, a ty sama właściwie już możesz się skończyć. Ten stan bardzo szybko znika, chociażby dlatego, że w tym brzuchu okropnie głośno zaczyna burczeć.

Relacja badaczki samotnie podążającej ścieżkami natury. To pogranicze fizyki Newtona i poetyki, to matematyka i filozofia, a przede wszystkim szczera czułość dla żyjących zielonych istot.

Czym są ekspresje roślinnego życia?
Jak je wyrazić w granicach języka?
Jak poruszają się pędy mięty i dyni?
Czy wpływa na nie Księżyc?
Co robi wiatr koronom drzew?
W jaki sposób goją się rany i co sprawia, że rośliny się deformują?
Skąd w nich ten pęd do przeżycia w każdych warunkach.
Kiedy i jak umierają?

W ludzkim rozumieniu rośliny są tłem naszego życia. Ozdobą lub pokarmem. Nie myśli się o nich jak o bogatym świecie niezależnych istot, które odznaczają się niezwykłą wrażliwością, zdolnością do przekształcania własnych ciał i które istniały na długo przed tym, zanim pojawił się na ziemi jakikolwiek ssak. *Patyki, badyle* to spotkanie człowieka z wnętrzem ciał roślin, z ich językiem widocznym w budowie liści, łodygach i korzeniach. Takiej opowieści jeszcze nie było.

cena 39,90 zł
www.marginesy.com.pl
9 788366 140134